



Mirosław Derecki (M.D.)

EKRAN I WIDZ: AEROBIC DO SIÓDMYCH POTÓW

Amerykański film „Boskie ciała”, nakręcony przez Lawrence’a Dane, przy współudziale „Playboya” jest jednym z największych knotów kina rozrywkowego, jakie oglądałem w ciągu ostatnich dwudziestu lat. I nie chodzi tutaj już o to, że sama intryga „Boskich ciał” jest uboga, fabuła prawie nie istnieje, a końcowa pointa - wyświechtana. Ostatecznie w filmie rozrywkowym liczy się przede wszystkim tempo muzyka, taniec, rytm (ów podskórny rytm filmowego spektaklu), błyskotliwy gag (bądź to słowny, bądź sytuacyjny). Jeżeli któregoś z tych elementów zabraknie, film staje się dziełem kalekim, nie uratuje go nawet doskonałe aktorstwo wykonawców ani renoma nazwiska reżysera. W „Boskich ciałach” aktorstwo nie istnieje w ogóle, zaś reżyseria sprowadza się do wymiaru szczątkowego...

Sam pomysł, niestety, nie wystarczy za film. Cieszący się od niedawna ogromnym powodzeniem w krajach zachodnich aerobic, rozpropagowany szeroko przez aktorki filmowe: Sydney Rome, a następnie Jane Fondę, istotnie aż się prosił na temat dla kasowego filmu rozrywkowego. Tym bardziej, że aerobic stał się z miejsca domeną kobiet, dziewcząt dbających o podkreślenie swojej urody oraz seksu. Aerobic to także cała nowa gałąź mody odzieżowej: swoistej krzyżówki sportowego kostiumu z ćwiczebnym strojem baletowym, ubioru barwnego, podkreślającego walory młodzieńczej kobiecej sylwetki, a w końcu także - przynależność jego posiadaczki do „dyskotekowej społeczności”. W aerobicu liczy się nie tylko muzyka i sprawność fizyczna, ale właśnie także kostium. Stąd też podstawowe założenie realizatorów „Boskich ciał” - pokazanie pięknych, atrakcyjnie ubranych dziewcząt, ćwiczących w rytmie dobrej muzyki disco. Czyli atrakcja dla oka i dla ucha. Stąd pomysł filmu, jako gigantycznego półtoragodzinnego teledysku do pokazywania na ekranie kinowym.

Fabuła, jak się rzekło, nie jest w filmie rozrywkowym rzeczą najbardziej istotną; nikt nie oczekuje od niej specjalnej „głębi” ani żelaznej logiki; ma ona być po prostu kanwą, na której zręczny reżyser haftuje wraz z utalentowanymi wykonawcami cały ciąg atrakcyjnych scenek czy też malowniczych pokazów. Bardziej niż w jakimkolwiek gatunku filmowym, fabuła jest w filmie rozrywkowym jedynie pretekstem.

Tak, więc nie ma, co się dziwić, że w „Boskich ciałach” cała „historia” sprowadza się do tego, że oto trzy amerykańskie biuralistki, opanowane namiętnością do aerobiku postanawiają skończyć z nudnym maszynopisaniem i założyć w na wpół zrujnowanej, na peryferiach miasta leżącej hali aerobic-club pod nazwą „Boskie ciała”. Duszą nowego przedsięwzięcia, a zarazem wybijającą się gwiazdą aerobiku jest jedna z trzech dziewcząt, Samantha, niedoszła tancerka, którą darzy miłością tzw. porządny chłopiec, członek zawodowej drużyny futbolowej. Niestety, sukcesy „Boskich ciał” nie w smak są bogatemu klubowi „Sporting Life”, który w całkiem niesportowy sposób usiłuje wyeliminować z gry niewygodnego rywala, wykupując lokal wynajmowany przez dziewczęta i ich aerobowych fanów. Dalej już rzecz rozgrywa się po amerykańsku. „Boskie ciała” wyzywają na aerobowy pojedynek „Sporting Life”; ma on trwać „do upadłego”, to znaczy tak długo, aż w jednej z drużyn padną z wyczerpania wszyscy zawodnicy. Oczywiście, po wielu „wstrząsających” momentach. Dobro triumfuje, a Zło ściele się pokotem na parkiecie, tonąc w strugach potu oraz rżąc, na pograniczu stanu przedzawałowego. Sprawiedliwości staje się zadość a Miłość triumfuje.

I byłoby wszystko w porządku, i można by nawet darować reżyserowi zbyt już przejrzyste nawiązanie pomysłu pojedynku pomiędzy „Boskimi ciałami” a „Sporting Life” do słynnego filmu Sydneya Pollacka „Czyż nie dobija się koni?” Gdyby... Gdyby nie fakt, że „Boskie ciała” są filmem zrobionym tak strasznie bez polotu, bez pomysłowości, bez reżyserskiego talentu! Miałkość inscenizacyjnych pomysłów, dłużyzny, poprawność zdjęć, granicząca z półamatorszczyzną, brak umiejętności wydobycia za pomocą kamery i dźwięku całej młodzieńczej pasji i młodzieńczej dynamiki aerobiku (poza kilkoma scenami samotnych występów głównej bohaterki w pustej telewizyjnej hali zdjęciowej), a wreszcie sprowadzenie końcowego pojedynku do ukazania panoramy spoconych ciał „zawodniczek” - to wszystko razem stawia „Boskie ciała” w kategorii filmów czwartorzędnych. A jedynym atutem pozostaje tu, niestety, sam tytuł filmu dużo więcej obiecujący, niż się okazuje w rzeczywistości.

Pewnie, ludzie w końcu pójdą do kina, żeby ten aerobic i te ciała obejrzeć, a pieniądze wpłyną do kasy, bo na bezrybiu i tak ryba, zaś polski widz, jak rzadko który, pożąda tej godziny barwnej iluzji. Ale nie zmieni to faktu, że film Lawrence’a Dane jest tylko potwierdzeniem starego wyeksploatowanego zdania krytyki iż dla stworzenia naprawdę dobrego filmu rozrywkowego trzeba być naprawdę doskonałym reżyserem...